ROZMAITOŚCI.

Dnia 18. Marca. № 11. Roku 1857.

BUKIET BALOWY.

I.

Cały Paryż znał przed kilkunastą laty mały sklepik z kwiatami przy ulicy Richelieu. Jego właścicielka, pani Prévost, była niejako osobą historyczną. Wchodziła ona w styczność z najznakomitszymi ludźmi swojego czasu, a sława jej imienia sięgała daleko poza obręby Paryża, nawet poza granice Francyi.

Kiedy ją poznałem, miała już włos posiwiały, a twarz pofałdowaną wiekiem. Wszakże przy tem wszystkiem trudno było poznać osobę przyjemniejszą.

Przebywając ustawicznie wpośród kwiatów, oddechając zawsze ich atmosferą balsamiczną, niepodobna było nie przejąć się także w sercu i charakterze ich wdziękiem i nadobnością, jak również istnem było niepodobieństwem, nie przybrać osobliwszego uroku w obejściu, mając ciągle do czynienia z ludźmi lepszego wychowania i układniejszych obyczajów.

Pani Prévost była zresztą nieprześcignionym wzorem kwieciarki, tak co do zręczności w uwijaniu bukietów, jako też co do gustu w dobieraniu i układaniu kwiatów.

Odgadywała zawsze instynktem, jaki kwiat komu najmilszy, jakiego składu bukiecik komuś najlepiej przypadnie do twarzy. A ktoż zręczniej i sprytniej potrafił włożyć malutki wierszyk lub bilecik w kielich tego lub owego kwiatuszka!

Pani Prévost była uprzywilejowaną kwieciarką wszystkich kochanków, wszystkich zalotników i mężów szczęśliwych. Umiała milczeć jak grób, a choćby najtrudniejsze polecenia, spełniała z wzorową gotowością.

A w miarę coraz większego wzrostu jej sławy i coraz znaczniejszego odbytu jej towaru, podnosiły się jeszcze wszystkie zalety nadobnej acz siwowłosej piastunki Flory.

Na ręce p. Prévost można było przesłać bezpiecznie bukiet artystce, nie wzniecając zazdrości w jej towarzyszkach, nie kompromitując jej wobec świata, i nie lękając się niedorzecznych pogłosek w kółkach towarzyskiej obmowy.

Potrzeba było tylko dać adres i jakietakie objaśnienie, a pewnie każdy kwiatuszek doszedł świeży i wonny rąk przeznaczonych, niczyjej nie zwracając na się uwagi, niczyjego nie budząc podejrzenia.

Pewnego wieczora wszedłem był do sklepiku pani Prévost, w towarzystwie jednego z moich najszczerszych przyjacioł, imieniem Henryka B... Obadwaj byliśmy w tym godnym zazdrości wieku, gdzie dość jest odwiedzać sklepy z kwiatami, nie potrzebując jeszcze odwiedzać sklepów galanteryjnych. Obadwaj też liczyliśmy się do dawnych i najponfalszych znajomości nieocenionej kwieciarki.

Tego wieczora chodziło nam o dwa bukieciki fijołków, przeznaczone dla dwóch rączek prześlicznych. Bezpieczna swoim włosem siwym wobec naszej młodości, rozmawiała z nami p. Prévost z poufałością najserdeczniejszej przyjaźni. Niby nadzwyczajnie ciekawie wysłuchawszy zwierzenia nasze, nazywała nas w żarcie trzpiotami, co oczywiście niemało schlebiało dziewietnastoletnim młokosom.

Podczas gdy p. Prévost składała i uwijała nasze bukieciki, Henryk przyglądał się machinalnie urządzeniu sklepiku. Nagle zatrzymał się przed małą skrzyneczką jakiegoś kształtu osobliwszego.

— „Co za dziwna skrzyneczka! Do czegoż ona służy?“ — zapytał po chwili, nie mogąc sobie sam na to odpowiedzieć.

— „Zkąd ta ciekawość?“ — przejęła z uśmiechem p. Prévost.

— „Tak, pani, jestem bardzo ciekawym, a tym razem więcej niż kiedykolwiek.“

— „Mógłbyś się pan przecież domyśleć, że i ta skrzyneczka i te wszystkie przybory na ziemi przeznaczone są do opakowania kwiatów.“

— „Co? kwiatów? Pani opakowujesz kwiaty jak suknie, jak bieliznę, jak...“

— „Jak każden inny towar.“

— „Co temu, to nie wierzę!“

— „W takim razie odwidź mię pan za godzinkę.“

— „I cóż wtedy obaczę?“

— „Obaczysz w jaki sposób opakuję kwiaty, które w tej skrzyneczce dziś jeszcze odejdą pocztą do Berlina.“

— „Jakto? więc pani posyłasz bukiety aż do Berlina?“

— „O, i dalej jeszcze. Moje najpiękniejsze kwiaty odchodzą do Rosyi.“

— „Lecz dostają się tam zapewne całkiem zwiędłe i zmięte.“

— „Bynajmniej; przychodzą tak świeże i wonne jak ta girlanda, którą pan widzisz przed sobą?“

— „I w jakiżto sposób dokazujesz pani tego cudu?“

— „W tem moja tajemnica.“

— „Nie zdradzajże jej pani. Nie posiadam się z radości, że kwiaty pani idą aż na dwór cesarza Mikołaja.“

— „I dlaczegoż to pana tak cieszy?“

— „Jutro odjeżdżam do Petersburga.“

— „Doprawdy?“

— „Niezawodnie. Jeśli który z tych bukietów ujrzę w ręku jakiej damy rosyjskiej, powitam go zaraz jak swego ziomka, jak dawnego przyjaciela.“

— „Byleś pan tylko zdołał poznać mój bukiet!“

— „O, poznam pewnie. Jak nietrudno poznać lada wiersz znakomitego poety, tak łatwo będzie poznać każdy z bukietów tutejszych choćby i w Petersburgu.“

— „Jest w tem więcej prawdy niż pan sam myślisz. Ale od panato pierwszego usłyszałam ten pochlebny komplement. Wart pan jesteś, abym cię za to pocałowała.“

— „O z całego serca, kochana pani Prévost!“

Nazajutrz spędziłem cały dzień w mieszkaniu Henryka. Obadwaj byliśmy smutni. Mój przyjaciel żałował tem serdeczniej życia paryzkiego, im większą obawą przejmowało go miasto, które miał na przyszłość zamieszkać. Niepodobna było jednakże oprzeć się tej podróży.

Ojciec jego odjeżdżał do Petersburga w ważnej misyi dyplomatycznej, a młody Henryk musiał mu towarzyszyć z podwójnej powinności, będąc synem posła i urzędowym członkiem poselstwa.

W chwili gdy wsiadał już do powozu, rzucił się Henryk jeszcze raz w moje ramiona.

— „Uściskaj mię jeszcze raz“ — szepnął z dziwnem wzruszeniem. — „Mam jakieś przeczucie, że się już nigdy więcej nie obaczymy.“

II.

Odjechawszy do Petersburga, nie zapomniał poczciwy Henryk o Francyi i swoich paryzkich przyjaciołach. Otrzymywałem od niego list po liście.

W pierwszych dwóch miesiącach nie mógł biedny chłopiec oswoić się w żaden sposób z powietrzem i życiem petersburgskiem. W każdym wyrazie jego listów przebijała się gorąca tęsknota za Paryżem. Żalił się, ubolewał, narzekał, jakgdyby na prawdę groziła mu choroba, jakiej nabawia nieukojona tęsknota za ojczyzną.

Naraz bez wszelkiego przygotowania, i nad wszelką nadzieję, zmienił się ton jego listów. Nie ustały wprawdzie i teraz liryczne uniesienia na cześć Paryża, wszakże z każdym dniem wzmagało się jego upodobanie w Petersburgu, i wszystko tam nagle w innem okazało mu się świetle.

Nie znał teraz nic piękniejszego nad lód i śniegi, a nawet odwilż wydała mu się niewymownie przyjemną. Przyczynę tej nagłej zmiany upatrywałem natychmiast w oczach jakiejś północnej czarodziejki.

Pytałem też Henryka o bliższe w tej mierze wyjaśnienia. Nic mi jednak nie odpowiedział. Nagliłem po raz wtóry i trzeci. On ciągle milczał, i ani jednem słówkiem nie zdradził się przedemną. Posiadał jak widać najgłówniejszą cnotę dyplomaty, talent milczenia.

O tym właśnie czasie wyprawiał książę X..., jeden z pierwszych magnatów rosyjskich, świetny bal w Petersburgu.

Sam książę był wdowcem. Obowiązki gospodyni domu pełniła jego siostrzenica i jedyna dziedziczka, młoda dwudziestoletnia piękność, jaśniejąca prawdziwie idealnym urokiem.

Nazywała się Helena.

Napływ gości był niesłychany. W głównym salonie rozpoczęły się już tańce. Młoda księżniczka stała ciągle u progu, przyjmując nowo wchodzących z nieopisaną gracyą i uprzejmością.

Strój pięknej gospodyni odznaczał się jedynie nadzwyczajną prostotą. Księżniczka nie miała na sobie żadnych klejnotów, jakby wiedziała, że jej wdzięki nie potrzebują sztucznego blasku.

Trzymała tylko maleńki bukiecik w prześlicznych palcach. Był on tak świeży, tak powabny, tak nowy co do kształtu, tak urozmaicony co do wyboru i składu kwiatów, tak prześliczny w kolorach, tak skromny w swoim przepychu, tak wspaniały w swojej skromności, jednem słowem tak pod każdym względem doskonały i niezrównany, że przy nim najcudniejsze bukiety reszty dam tańcujących wyglądały jak zwiędłe piwonie obok świeżego pączka róży.

Niestety, bukiecik ten miał stać się powodem nader smutnego wypadku.

Znajdował się na tym balu i Henryk, otoczony gronem nowych przyjaciół, równie jak on członków ambasady. Znając wybornie zwyczaje wielkiego świata, wszedł do salonu w tej porze, kiedy skończyły się właśnie wszystkie ceremonie przedwstępne, i miała na prawdę zacząć się już zabawa.

Zaledwie jednak oddał winny ukłon pięknej księżniczce, gdy wtem rzuciwszy okiem na jej bukiecik, zawołał z dziecinną prawie radością:

— „O, pozwól mi pani, powitać w tym prześlicznym bukiecie pamiątkę mojej ojczyzny.“

— „Po jakimżeto znaku poznałeś pan swego ziomka? — zapytała księżniczka z czarującym uśmiechem. — „Czyż kwiaty dzielą się także na narodowości?“

— „Kwiaty nie, ale bukiety. Dla przekonania zaś gotówbym ręczyć życiem, że bukiet który pani trzymasz w tej chwili, pochodzi z Francyi, z Paryża, ze sklepiku p. Prévost przy Palais Royal.“

— „W samej rzeczy.... Ale zkądżeto wiesz pan o tem?“

— „Poznałem na pierwszy rzut oka.“

— „Przyszedł mi rzeczywiście kaprys zamówić sobie bukiet u tej sławnej kwieciarki paryskiej. Dotąd jednakże nie zwierzyłam nikomu mego sekretu. Jakimże cudem odgadłeś go pan tak łatwo?“

— „Poznałbym bukiet pani Prévost pomiędzy tysiącem innych.“

— „Po czemże przecież?“

— „Po temsamem, pani, po czem poznałbym gdziekolwiek wiersz Wiktora Hugo albo ustęp prozy Musseta. Bukiecik pani poznałem po jego stylu.“

— „Być może. Tylko pozwól mi pan zrobić sobie uwagę, iż zastosowanie stylu do bukietu jest cokolwiek za śmiałem.“

— „Bynajmniej pani. Styl jestto dar bardzo rzadki, ale kto go posiada, ten użyje go do wszystkiego, nawet do uwicia bukietu, nawet do ubrania sukni balowej, jak to w świetnym właśnie przykładzie podziwiam na pani samej. Rzuć pani okiem dokoła siebie, a przekonasz się, czy toaleta twoja podobną jest do którejkolwiek innej? O tak, jesteś pani ubraną dzisiaj nie tylko z gustem, ale i w pewnym stylu własnym.“

— „Nie będę się sprzeczać z panem“ — odpowiedziała wesoło.

— „Zaczynasz pan na prawdę mię przekonywać“ — dorzuciła w półgodziny później, w którejś z figur kadryla.

— „Jesteś pani nazbyt łaskawą.... Czy wolno mi prosić pania do następnego tańca?“

— „Do ostatniego kadryla, jeśli pan zechcesz..“

— „Czemuż do ostatniego?“

— „Do ostatniego przed wieczerzą. Wtedy promenada trwa najdłużej, i najlepiej rozmawiać.“

— „Jakżem wdzięczen za tyle łaski niezasłużonej!“

Po kadrylu nastąpiły inne tańce, walce, polki, mazury. Helena musiała brać udział we wszystkich; a dziwna rzecz, ilekroć Henryk widział ją u boku innego mężczyzny, zawsze porywała go jakaś zazdrość, z której nie umiał sobie zdać sprawy.

— „Przyrzekła tańczyć ze mną ostatniego kadryla, w znak jakiejś łaski szczególnej“ — powtarzał sobie w duchu z osobliwszem zadowoleniem. Jakoż czekając na tę chwilę upragnioną, nie uczestniczył w żadnym z tańców, poprzedzających wieczerzę.

Nareście przyszła kolej na niego. Henryk tańczył z księżniczką, a podczas ostatniej promenady zawiązała się między niemi jakaś długa i ożywiona rozmowa.

I o czemże rozmawiali? Czy tylko o samym stylu bukietu pani Prévost? Nie wiedzieć. To tylko pewna, że konwersacya toczyła się wesoło, i wiele musiała wzbudzać zajęcia, bo po skończonej promenadzie usunęli się oboje pod okno, jakgdyby zamyślali robić sobie jakieś zwierzenia.

Po sutej wieczerzy, która odbyła się wkrótce w obocznej sali, udały się damy do pokojów księżniczki, aby poprawić nieco w uszkodzonej tańcami toalecie. Mężczyźni zaś powrócili napowrót do salonu.

Młodzież ugrupowała się w jednym kącie salonu, i w żywej z sobą rozmowie czekała powrotu dam.

Nie dały one długo czekać na siebie. Niebawem zaludnił się na nowo salon bawialny.

*

To nastręczyło nowego żywiołu rozmowie stojących z ubocza mężczyzn. Zajmowała ich szczególniej królowa balu, piękna księżniczka Helena.

W kółku młodzieży znajdował się młody sekretarz pewnej zagranicznej ambasady, jedyny z nowych przyjaciół Henryka, którego bliżej poznać musimy. Byłto baron Wilhelm St***, mężczyzna około lat trzydziestu, udatnej postawy, dość przystojny, wyborny tancerz, gracz i żartowniś niezrównany, przytem szermierz jakich mało, a nadewszystko samochwał bezprzykładny.

Lubiono go w towarzystwie, i posiadał nawet wiele przyjaciół.

Gdy młoda księżniczka powróciła do salonu, i otoczona przyjaciołkami zasiadła w swojem krześle, Wilhelm zwrócił się żywo do swoich towarzyszy.

— „Patrzcie!“ — rzekł półgłosem z pewnym wyrazem zdziwienia. — „Księżniczka Helena nie ma już swego bukietu.“

— „W samej rzeczy“ — odpowiedziało naraz kilku najbliżej stojących.

Spostrzeżenie to, podane szeptem z ucha do ucha, obiegło w krótkim czasie nietylko całe męskie towarzystwo, lecz dostało się nawet do krzeseł i kanap damskich. I dziwna rzecz, nagłe zniknięcie bukieciku sprawiło na wszystkich daleko większe wrażenie niż jego widok przez cały wieczór.

Po raz drugi w tej jednej nocy zajęło arcydzieło pani Prévost uwagę najcelniejszego towarzystwa stolicy północy.

Lecz nie tu jeszcze koniec jego historycznego zawodu. Kwiaty żyją wprawdzie bardzo krótko w rzeczywistości, lecz częstokroć bardzo głębokie ślady pozostawiają w naszej pamięci, a nieraz każą się oblewać łzami lub krwią.

III.

Zniknięcie prześlicznego bukietu młodej księżniczki stało się przedmiotem powszechnej rozmowy w salonie. Nie obeszło się bez dowcipnych i niedowcipnych, złośliwych i niezłośliwych uwag, jakie tuowdzie wywoływały zazdrość, a nawet i oszczerstwo.

W owem kółku młodzieży, złożonem po większej części z młodych trzpiotów, miały wszelkie uwagi daleko uszczypliwszy charakter, a wszelkie domysły daleko szerszy i śmielszy zakroj, w ogóle cała rozmowa w tym przedmiocie toczyła się daleko swobodniej niż się zgadzało z przyzwoitością i umiarkowaniem.

Każdy z grona żartownisiów musiał oczywiście z własnem ozwać się zdaniem.

— „Ależ mój Boże“ — rzekł jakiś młodziutki gładysz. — „Nie masz w tem nic dziwnego: księżniczka zapewne zapomniała bukiet w swoich pokojach.“

— „O, bukiet, sprowadzony wielkim kosztem aż z Paryża, nie tak łatwo się zapomina“ — odparł mu sąsiad z uśmiechem.

— „Więc może go po prostu zgubiła; bo czegożto kobiety nie gubią na balu, klejnoty, sekreta, marzenia..... Nie sądze. aby kwiaty jedynym były wyjątkiem.“

— „Powinieneś wiedzieć, mój kochany“ — ozwał się naraz baron Wilhelm — „że kobieta nie gubi nigdy bukietu bez zamiaru.“

— „Alez, kochany baronie, spotwarzasz kobiety.“

— „Bynajmniej. Pod względem przebiegłości nie mozna nigdy spotwarzyć kobiety. Wszystkie one posiadają tę cnotę z urodzenia, i w tak wysokim stopniu, że niepodobna dodać im czegoś z fantazyi.“

— „Mówisz, mój Wilhelmie, jak drugi La Rochefoucauld.“

— „Biorę słowa pańskie za rzeczywisty komplement.“

— „Wszystko to jednak nie rzuca dostatecznego światła na los bukietu“ — zagadnął ktoś z ubocza.

— „Nie domyślasz się jego losu? O, na to nie potrzeba być Nostradamem.“

— „Co do mnie, niczego się nie domyślam.“

— „Ani ja, ani ja!“ — zawołało naraz kilka głosów.

— „Widać że kilka szklanek szampana obałamuciło wam głowę. Potrzeba was oświecić.“

— „I owszem, tylko prędzej.“

— „Więc doprawdy nie odgadujecie?“

— „Ależ opowiedz raz.“

— „A mój Boże, toć przecie jasna jak dzień! Księżniczka darowała komuś swój bukiet.“

— „Niepodobna!“

— „Za daleko sięgnąłeś!“

— „Żartuje!“

— „Złośliwy!“

— „Słuchajcie przecież! Księżniczka darowała komuś swój bukiet, i postąpiła sobie w tem jaknajlepiej. Bukiecik ten w jej ręku nie był niczem innem, jak tylko błahym przyborem kokieteryi; darowany zaś komuś, stał się przedmiotem niezmiernej wartości. U niej samej byłby on zwiądł do jutra, u kogoś in-

nego pozostanie w poszanowaniu jak relikwia po koniec życia?

— „Niech więc i tak będzie... Helena darowała swój bukiet... Lecz komu?“

— „Człowiekowi, który się jej podobał; to się samo przez się rozumie.“

— „Więc w takim razie księżniczka kocha kogoś?“

— „Osobliwsze pytanie! Będąc księżniczką można być przeto kobietą.“

— „W samej rzeczy! Zeszłego roku miała księżniczka pójść za mąż za swojego kuzyna, Alexego Strogowa. Nie wiedzieć jednak dlaczego, zerwała z nim przed samemi zaślubinami.“

— „Otoż i pierwszy znak!“

— „Od tego czasu trzech czy czterech równych jej stanem i majątkiem młodych ludzi ubiegało się o jej rękę, a otrzymało zawsze odkosza. Musi w tem być jakiś sekret.“

— „Niezawodnie. Księżniczka kocha kogoś...“

— „Lecz dlaczegoż nie pójdzie za tego szczęśliwego śmiertelnika, którego kocha. Nie będzie on przecież żonatym? Oto cała zagadka.“

— „Nic łatwiejszego nad jej rozwiązanie.“

— „Nie rozumiem.“

— „Ani ja“ — zawtórował ktoś z boku.“

— „Zanadto żądacie odemnie, nie mogę wam więcej powiedzieć.“

— „Mówisz to takim tonem, jakgdybyś sam posiadał jej bukiecik.“

— „To wina mego opowiadania, nie moja.“

— „Więc przyznaj się wreście, i pokaż go przyjaciołom.“

— „O, nie, nie. Nie myślę robić zwierzeń, i nic wam nie pokażę. Zresztą zgorszyłbym może Henryka. Patrzcie jak się mieni! Jeślibym słówko powiedział więcej, zabiłby mnie swoim wzrokiem.“

Henryk, który przysłuchywał się milcząc całej rozmowie, był rzeczywiście bardzo bladym, zapewne w skutek długiego czuwania i jakiegoś wewnętrznego wzruszenia.“

— „Mamże odejść!“ — zawołał wreście gwałtownie.

— „Bynajmniej! mój drogi Henryku!“ — odpowiedział z wyrazem protestacyi baron Wilhelm. — „Chciałbym tylko, abyś cokolwiek rozjaśnił twoje oblicze. Albo chcesz może napędzić mi nieco strachu?“

— „Nie przeszkadzam ci bynajmniej w opowiadaniu.“

— „A prawda! Nie zważając na twoją obecność, mówię więcej, niżby należało.... Jestem wszakże w gronie samych przyjacioł od serca.“

— „Więc przyznajesz się wreście, szczęśliwy śmiertelniku“ — zapytało naraz kilka głosów.

— „Nie, nie przyznaję się. Lecz gotów jestem nazwać kłamcą każdego, ktoby się przyznał do posiadania bukietu księżniczki. Ręczę żebym fałsz podobny wetknął mu szpadą napowrót w gardło.“ (D. n.)

ŚMIERĆ UROSZA NEMANICZA. *)

(Z przekładów Romana Zmorskiego.)

Boże drogi! co za wielkie dziwy!.....
Co się dzieje we Pryzrenie grodzie?
Czy to radość, czy to żal tak głośny?

Oj, nie radość we Pryzrenie grodzie!
Lecz się cieżka żałość nadarzyła:

*) Pieśń ta, wyjęta ze zbioru pieśni Czarnogórskich i Hercegowackich, który zmarły poeta serbski Milutynowicz pod pseudonymem Czurby Czojkowicza ogłosił, opowiada zgon ostatniego dziedzica dynastyi Nemaniczów, pod której władzą państwo serbskie z zadziwiającą szybkością wzrosło w potęgę i sławę. Historycznie rzecz biorąc, Urosz, w chwili śmierci ojca swego, cara Duszana (w pieśni niniejszej Milutynem, to jest *ukochanym* przezwanego), miał lat dziewiętnaście i był ożenionym z wołoską księżniczką Heleną. Niemając potrzebnej energii, aby utrzymać władzę nad potężnymi lennymi rządzcami różnych prowincyi, z których każdy pragnął sam carski tron zasiąść, wyzuty zupełnie z ojcowskiego dziedzictwa, szukał przytułku na dworze Wukaszyna, jednego z lennych królów, postanowionych przez Duszana. Doszedłszy dojrzałego wieku (31 roku życia), uczuł nareście poniżenie swoje, i zapewne porozumiawszy się względem przyszłej pomocy z Wenecyą, zamyślał zbiedz do Dubrownika; lecz król Wukaszyn, zamiar ten odkrywszy, wywabił go ze sobą na łowy i zdradziecko zabił.

Śmierć ostatniego potomka wielkiej rodziny wywoływała współczucia narodu i domagała się pieśni; ale charakter słaby Urosza, który długo cierpliwie znosiwszy poniżenia, zginął bez walki, nic nie zdziaławszy pamięci godnego, nie odpowiadał w niczem warunkom, jakich słuchacze i śpiewacy wymagają po bohaterach pieśni swoich. Wystawiając go takim jak był, śpiewak zamiast żalu i współczucia dla zamordowanego, a oburzenia i nienawiści dla Wukaszyna, wzniecićby niezawodnie dla pierwszego wzgardę i niechęć, a usprawiedliwił nieledwie w oczach wszystkich czyn krwawy ostatniego. Aby więc zamierzony skutek osiągnąć, śpiewak ludowy uczynił Urosza niewinnem, bezsilnem i bronić się niezdolnem dziecięciem, a Wukaszyna jego opiekunem i wujem rodzonym, — tem więc występniejszym zbrodniarzem. Jestto dowód wysoki tego prawdziwie poetycznego instynktu, jakim się zalecają niemal wszystkie utwory narodowej poezyi serbskiej.

Car Milutyn chory na śmierć leży, —
A nikogo z rodu po nim nie ma,
Prócz Milicy, wiernej żony młodej,
A Urosza, dwóchletniego syna....

Gromadzą się wszystkie serbskie pany,
Gromadzą się smutni koło cara:
Stary Bogdan Jug, z dziewięcią synów,
Z dziewięcią swych młodych Jugowiczów, —
Dalej Miłosz Obylicz wojwoda, —
Wojewoda Relja od Pazara, —
I Toplica Milan wojewoda,
Z pobratymem Kosowacz-Iwanem.
Przyjdą zatem trzej Mrliawczewiczowie:
Despot Ugljesz i Gojko wojwoda,
I trzeci brat król Wukaszyn sławny,
Z synem swoim Markiem królewiczem.
Przyjdzie stary Józef proihumen,
Z monasteru z Rawanicy białej,
Razem z młodym dziakiem swym Michałem...
Zebrały się wszystkie Serbskie pany, —
Na ostatku sędziwy Arseni,
Patryarcha, starzec posiwiały.
Nad swym carem wszyscy smutni stoją —
Wtem Jug-Bogdan odzywa się stary:

— „Gospodynie, carze Milntynie!
„Tyś nam chory, umierać ci trzeba...
„Powiedz: czego żal najbardziej tobie?
„Czy Pryzrenu, stolicy twej białej?
„Czy twojego skarbca królewskiego?
„Czy Milicy, młodej żony twojej?"

— „Nietyle mi żal wszystkiego tego,
„Co Urosza, mego jedynaka,
„Że mu carstwa w ręce zdać nie mogę."

Na to carn znów Jug-Bogdan stary:
— „Otoć tyle serbskich wojwodów!
„Oddaj carstwo jednemu wojwodzie,
„Pod opiekę, na niejakie lata,
„Aż dorośnie Urosz, twój jedynak."

Car Milutyn namyślać się pocznie —
Aż umyślił na kogo zdać państwo:
Na króla je zdaje Wukaszyna,
Na Urosza wuja rodzonego;
Zdaje mu je na siedem lat czasu,
Aż dorośnie Urosz dziecię młode.

Jako zatem skonał car Milntyn,
Król Wukaszyn objął po nim carstwo. —

Rok za rokiem mijał swą koleją —
Niezadługo siedem lat wybiegło.
Po tych siedmiu przeszło drugie siedem:
Uroszowi już szesnaście latek —
O carstwie mu nikt ani nie wspomni!...

Poczną się go pytać Serbskie pany:
— „Gdzież korona cara, ojca twego?"
Pyta Urosz serbskich wojewodów,
Nie da-li mu świadectwa z nich który:
„Gdy car ojciec rozstawał się z życiem,
„W czyim ręku koronę zostawił?"

Zaszedł Urosz k starcu Jug-Bogdanu, —
Ten mu mieni wszystkie wojewody,
Co przy śmierci cara byli świadki.
Pozwie wszystkich serbskich wojewodów
Na wieczerzę pańską Bogdan k sobie.
Zebrali się, ta i wieczerzali.

Na raz Urosz z siedzenia się zrywa,
Na wsze święte w świecie ich zaklina:
— „Gdy car ojciec rozstawał się z życiem,
„W czyim ręku koronę zostawił?"

Wszyscy milczą, nikt nie odpowiada....
Którzy znali, ozwać się nie śmieli;
Coby śmieli, ci nic nie wiedzieli.
Wreście Marko na nogi powstanie,
I powstawszy tako się odzywa:
— „W ręku ojca mego, Wukaszyna
„Króla, carska korona została."

Jako to król Wukaszyn posłyszał,
Ostrą szablę od boku dobędzie,
Skoczy z swego siedzenia na nogi, —
Za nim Gojko z Ugljeszem poskoczą,
Rozsiec Marka szablami ostremi.
Tak się porwie do szabli i Marko, —
Za nim Relja i Miłosz wojwody:
Szablami się siec na wzajem chcieli.
Lecz panowie serbscy im nie dali,
Uczynili mir pomiędzy nimi.

Bogiem kumi Urosz dziecię młode,
Bogiem kumi króla swego wuja,
By mu oddał ojcową koronę.
Król Wukaszyn oddał mu koronę, —
Wraz z koroną sławne serbskie państwo....
I tak w zgodzie zbór się rozszedł cały. —

Alić, mało ledwie przeszło czasu,
Kum niewierny pocznie knować zdradę
Naprzeciwko siostrzanowi swemu, —
Pocznie myśleć jakoby go zgładził.
Myśli — myśli, aż wreście wymyślił.

Wybierze się na łów, między góry,
Pozwie z sobą Urosza sierotę.
Obaj razem pociągnęli w góry.....
Łów łowili, nic nie ułowili....
Jak im wzięło dojmować pragnienie,
Spuścili się z góry na dolinę,
Kędy ciche znaleźli jezioro.

Król Wukaszyn zsiadł z swego rumaka,
Chłodnej wody napił się z jeziora;
Zatem rzecze k niemu Urosz młody:
„Ty potrzymaj teraz konie oba.“ —
Król Wukaszyn wziął od niego konie,
Urosz odszedł pić z jeziora wodę.

Król wtem obuch chwyci ołowiany,
Uderzy nim swojego siostrzana,
Uderzy go w głowę, po za ucho, —
Aż mózg z głowy prysnął po dolinie,
A od krwi się zmąciło jezioro.

Jako Urosz upadł tak bez duszy,
Król Wukaszyn wziął ciało za nogi,
I odwlokłszy z doliny na stronę,
Wziął na plecy, niósł cienistym borem,
Pod jodłą go zagrzebał zieloną.
Dół przysypał chrustem i kamieńmi,
Zwiędłym liściem i zielskiem wszelakiem,
Na to wszystko igliwiem jedliny, —
Żeby poznać nic nie można było.

Król się zatem sam do domu żenie. —
Gdy był blisko białego Pryzrenu,
Zdaleka go siostra dopatrzyła;
A niewidząc przy królu Urosza,
Niemyśłący, snadnie odgadnęła:
Że mu kędyś wuj odebrał życie.

Płacząc rzewnie poszła szukać w góry.
Cały tydzień szukając chodziła,
Nic nie jedząc, ani nic nie pijąc;
Przyszła wreście nad ciche jezioro.
Tu się chłodnej wody napić chciała, —
Aż jezioro krwią całe zmącone,
I po brzegu krwią zbroczona ziemia!..
Pozna matka że tu syn jej zginął,
Tak za śladem szuka po dolinie;
Ślad zgubiwszy, idzie oślep lasem.

Aż gdy zaszła gdzie najwyższa jodła,
Rzuci okiem pod jodłę zieloną:
Tutaj siedzą czterej aniołowie,
Przy nich stoi Urosz chłopię młode!..

To caryca jako obaczyła,
Bieży prosto do Pryzrenu grodu,
Do carskiego prosto manasteru:
Rzecz powiada starcu ihumenu.
Starzec zwołał duchowieństwo swoje:
Poszli wszyscy w góry, w las zielony,
I znaleźli ciało Uroszowe.
Wszystko ciało w całości znaleźli,
Bo przed Bogiem znalazł łaskę Urosz.

Tu modlitwy mnogie odprawili,
Zaś go nieśli w monaster swój biały:
W złocistą go trumnę położyli,
Gdzie mu z Bogiem spoczynek na wieki. —
Lecz nie znaleźć spoczynku królowi,
Przede klątwą całego narodu
A przed sądem sprawiedliwym Boga,
Który zgładził siostrzana sierotę
Dla korony i ziemskiego mienia!

Opis niektórych miejsc Galicyi w r. 1685,

przez

Francuza w służbie króla Jana III.

(Dokończenie.)

VI.

POKUCIE.

Po prawej stronie Buczacza, w odległości dwóch mil, płynie poważnie Dniestr. Poza brzegami tej rzeki poczyna się mała kraina, wcielona do Rusi Czerwonej pod nazwą Pokucie. Ciągnie sie ona od Dniestru aż do brzegów Prutu w szerokości sześciu mil ukraińskich, z których każda wymaga najmniej dwóch godzin jazdy. Ten kawał kraju, ścieśniony między dwoma rzekami, tworzy osobną kasztelanię, która nosi nazwę od swojej stolicy, Halicza, a podlega województwu ruskiemu.

Ziemia halicka (jeśli damy wiarę tradycyom krajowym) była niegdyś kwitnącem państwem. Dziś cały ten obszar kraju z wszystkiemi wsiami i miasteczkami jest własnością domu Potockich, który jest jednym z najbogatszych w całej Polsce. Dzisiejszy kasztelan krakowski reprezentuje głowę rodziny, a posiada całe Pokucie z Haliczem. Jego wojska są tu jedyną obroną granic, on mianuje dowódzców, daje miastom załogę, troszczy się o zapasy amunicyi, napełnia żywnością magazyny, i wszystkie też armaty należą do jego armii. Rozległe ziemie w posiadaniu p. kasztelana, połączone z posiadłościami innych gałęzi domu Potockich, jako to z kluczem podhajeckim, buczackim i gniazdem rodowem, Potokiem, mogłyby obszarem i dochodami swemi równać się pierwszej lepszej z największych i najbogatszych prowincyi francuskich, gdyby ciągłe wojny nie przywiodły ich były do najokropniejszego spustoszenia. Mimo tego wszystkie prawie główniejsze miasta Pokucia, dzięki osobliwszym staraniom dzisiejszego pana swojego, są jeszcze w dość dobrym stanie.

Najwiekszem i najpiękniejszem ze wszystkich jest Stanisławów, położony wśród pięknej równiny a owarowany dużym okopem, wysypanym na wzór nowych fortyfikacyj. Posiada on okazały pałac, zbudowany pięknie i ozdobnie z kamienia. Rynek, domy, mieszkańcy i arsenał celują nad wszystkie inne miasta Rusi. Ludność Stanisławowa składa się z Ormian i Wołochów bardzo bogatych. Wnosząc ze stroju mężczyzn i kobiet, niemniej też z częstych jarmarków, które co do bogactwa i rozmaitości towarów nie ustępują jarmarkom we Lwowie i w Warszawie, możnaby nazwać Stanisławów sercem królestwa, lubo okolica jego zupełnie jest zniszczona.

Śniatyn należy do tejsamej prowincyi i tegosamego dziedzica, kasztelana krakowskiego. Oddalony od Stanisławowa o dziesięć mil czyli raczej o dwadzieścia godzin drogi, przytyka on tuż do Prutu. Pod względem warowności trudno mu się równać ze Stanisławowem, bo całą jego fortyfikacyę stanowi kilka palisad i stary a do tego zupełnie zrujnowany zamek. Szczupła liczba mieszkańców mieści się w domach drewnianych, a wszystka ziemia dokoła, z wyjątkiem pół mili najbliższego okręgu, leży odłogiem. Kilku Żydów, trudniących się drobnym handlem, osiedliło się w Śniatynie podczas ostatniej wojny, aby dostarczać żywności armiom w przechodzie. Jedno przedmieście, poniżej brzegów Prutu, osadził kasztelan krakowski Wołochami, do których przyłączyli się Ormianie, i z takiejto mieszaniny narodowości, składa się ludność miasta, nie licząca ani dziesięciu rodzin prawdziwie polskich. Położony na wzgórzu ponad rzeką, która płynie u jego stóp, stanowi Śniatyn granicę między Pokuciem a Wołoszczyzną, poczynającą się już o ćwierć mili za Śniatynem.

Widać z tego opisu, że Potoccy nie ustępują ogromem fortuny swojej Zamojskim, Daniłowiczom, Lubomirskim, Koniecpolskim i innym, gdy prócz rozległych dóbr na Rusi i Podolu, posiadają jeszcze całą kasztelanię halicką, t. j. wszystek obszar ziemi między Dniestrem a Prutem.

Pierwsza peruka. Po długiej i ciężkiej chorobie utracił był Filip Dobry, książę Burgundzki, wszystkie włosy na głowie. Dotknęło go to tem boleśniej, ile że pod tę właśnie porę zaręczył się z piękną królewną Izabellą Portugalską. Nosił on wprawdzie małą czarną czapeczkę dla pokrycia łysiny, lecz ta szpeciła go tak wielce, że księżna nie mogła przenieść na sobie, aby mu tego nie powiedzieć w dzień ślubu. Nazajutrz po weselu był książę niezmiernie zmartwiony. Uderzyło to cały dwór, a jeden z najpierwszych panów stolicy podjął się zapytać księcia o przyczynę smutku. — „Miłościwy panie“ — rzekł, stanąwszy przed obliczem książęcem. — „Wierne miasto Bruxella boleje srodze nad twojem umartwieniem. Nie byłożby w naszej mocy przynieść ulgę zgryzocie twojej?“ — „O, niepodobna“ — odparł Filip. — „Moje nieszczęście nie da się naprawić, a przecież wszystkobym chętnie poświęcił, aby pozyskać miłość mojej małżonki.“ Pytający zrozumiał, i nie stracił nadziei. Starając się wszelkiemi siłami o przypodobanie się księciu, wyznaczył ogromną summę dla tego, kto wynajdzie najstosowniejszy środek do pokrycia łysiny. Po niedługim czasie wchodzi do niego jakiś cudzoziemiec, i podaje mu czepek tak sztucznie włosami okryty, że wydawał się jakby zdjęta z głowy czupryna. Na widok tego mistrzowskiego dzieła wydał przyjaciel księcia okrzyk radości. — „Jak się nazywasz?“ — zapytał z żywością. — „Piotr *Lorchaut*, balwierz z Dijon, łaskawy panie.“ — Pod wieczór tego pamiętnego dnia wyprawił Filip wspaniały bal dla mieszkańców Bruxelli, i po raz pierwszy pokazał się publicznie w pięknej peruce o długich jasnych włosach. Nie dodaje historya, czy nowy ten wynalazek wywarł pożądany skutek na sercu Izabelli, to przecież pewna, iż niejeden z czytelników, musnąwszy ręką po głowie, pobłogosławi pamięci Piotra *Lorchaut*.

Antipatye. Czytaliśmy niedawno w dziennikach francuzkich scenę następującą: Do restauracyi w *Palais Royal* weszła dnia 13 lutego jakaś młoda dama w towarzystwie brata, oficera od kawaleryi. Usiadłszy do stołu, jadła z początku z najlepszym apetytem, gdy wtem nagle pobladła, i zemdlona upadła z krzesła. Wszyscy przyskoczyli jej w pomoc, brat dał jej wąchać flakonik z jakimś płynem orzeźwiającym, i opowiedział przestraszonym gościom, że siostra jego czuje nieprzezwyciężony wstręt od raków, i na sam zapach wpada w omdlenie, a właśnie wtedy przyniosł był posługacz raki na stół sąsiedni.— Przykłady podobnych osobliwszych antipatyj przechowały się licznie w historyi. I tak np. *Erazm Rotterdamczyk* czuł tak wielką odrazę ku rybom, że sam ich zapach nabawiał go febry. *Józef Skaliger* brzydził się mleka. Nasz *Władysław Jagiełło* nie mógł znieść jabłek. *Henryk III* i marszałek *Schomberg* czuli niesłychany wstręt od kotów. *Wallensztajna* przejmowało dreszczem pianie koguta, a sekretarzowi króla Franciszka I, *Du Chesne*, puszczała się krew z nosa, skoro tylko powąchał surowe jabłko. Filozof *Chrysippus* nienawidził do tego stopnia ukłonów, że w mdłości wpadał, gdy ktoś z zwyczajną powitał go grzecznością. Pewien gubernator w Martinique dostawał drgań konwulsyjnych na widok karpia, a *Beré* opowiada że jedna z znakomitych osób tamtoczesnych zemdlała ujrzawszy węgorza. Niejaki wreście *don Juan Baly*, rycerz Alkantary, dostawał kurczów, jeśli w jego przytomności wymówiono słowo *lana* (wełna).

Słuszna przyczyna. Pewien chłop zabił siekierą psa, który go chciał ukąsić. Stawiony przed sędziego i zapytany dlaczego nie obrócił siekierę na drugą stronę, odpowiedział. „Byłbym to niezawodnie uczynił, gdyby mię pies chciał był ugryźć ogonem a nie zębami.“

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.**

Z c. k. galicyjskiej drukarni rządowej.